Zeszyt 25. Lwów dnia 10. Września 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki, hotel europejski.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

(C. d.) Zapalił świecę, obok lampy stojącą i krok za krokiem przeszedł wszystkie pokoje zaglądając pod kanapy i sofy, szukając za szafami, wreszcie w przedpokoju drzwi próbując, czy dobrze zamknięte. Upewniwszy się pod tym względem zupełnie, wrócił do przyjaciela i przy nim usiadł.

— Bądź spokojny — rzekł — jesteśmy sami.

— A więc słuchaj. Głupstwo by to było kolosalne z naszej strony, gdybyśmy mając w rękach taką tlustą rybę, puścili ją, a właściwie drugiemu oddali. Wypadki tak szczęśliwe rzadko się w życiu zdarzają, a kto z nich nie korzysta, wart by mu za to głowę ogolono. Jak ci się zdaje, mam słuszność?

— Masz, jakem poczciw masz, tylko mów dalej.

— Wiesz, że jestem dobrym lekarzem i nie jedną śmierć przepowiedziałem na dzień, czasem prawie na godzinę. Otóż według moich obliczeń, Czarkowski, który już od tygodnia goni ostatkami, chociaż zdaje mu się, że mu coraz lepiej, zostanie w tych dniach z pewnością sparaliżowany. Gdy to nastąpi, a moja w tem głowa, bym wiedział, o której godzinie, dam ci znać natychmiast, abyś także przyszedł. Co potem zrobimy, pewnie się domyślasz.

— Nie, to niemożliwe! — odparł Czudek trąc czoło. — Przecie tam będą Juljan i Wojciech, którym ja się na oczy nie mogę pokazać. Zresztą oni by na nic nie pozwolili...

— Oto adwokat! — żyd zaszydził — i jemu się zdaje, że ja z nieboszczykiem chcę spisywać testament przy jego siostrzeńcu i służącym! Doprawdy, taką głowę warto pozlocić!... Mój drogi — dodał, puszczając gospodarzowi w oczy kłąb dymu czarnego — ja Wojciecha biorę na siebie... już ja go w sam czas wyszlę do apteki po takie lekarstwo, że z pewnością będzie na nie czekał godzinę, jeżeli nie dłużej, a w tym czasie wszystko załatwimy, co zaś do Rossowskiego, tego tyś na siebie wziąć powinien.

— Ja? Jego?! — zawołał adwokat z najwyższem zdziwieniem. — A wszakże wiesz, żem jego zaciętym nieprzyjacielem, my się teraz nigdy nie spotykamy.

— Wiem, lecz niestety wiem i to także, że morfina pomięszała ci mózg zupełnie. Któż bo żąda od ciebie byś się z nim widział? To by było nie tylko zbyteczne, lecz nawet niebezpieczne. Przeciwnie, trzeba go usunąć, wcale się z nim nie widząc i to będzie najrozumniejsze. Wspominałeś mi przed kilku dniami, że adwokat wiedeński, który tamże jego sprawę prowadzi, jest twoim dobrym znajomym i że od niejakiego czasu porozumiewasz się z nim ukradkiem, ma się rozumieć nie w tym celu, by Rossowski proces wygrał...

— Prawda, prawda — przerwał adwokat bliżej się przysuwając... — Cóż więc?...

— Trzeba więc jeszcze dziś w nocy poprosić na drodze telegraficznej owego adwokata, ażeby on niezwłocznie, także telegrafem, wezwał Rossowskiego do Wiednia. Tym sposobem pozbędziemy się go na czas dłuższy.

— Ragner! tyś genjalny! — zawołał Czudek swojego gościa za szyję obejmując. — Dopiero teraz widzę jaką masz głowę! Spiszemy testamencik, ma się rozumieć cały na naszą korzyść, co nikogo nie uderzy — dziwaki zwykle zapisują majątek nie swoim, ale cudzym — z pod

poduszki zabierzemy całą gotówkę, zostawiając tylko coś na okaz; skrypta, a więc i ten, w którym Rossowski zeznał, że jest wujowi dłużnym 5.000 guldenów przejdzie w moje posiadanie i potem.. potem dopiero pogadamy!

— Więc przyznajesz, że mój plan dobry? — lekarz zapytał.

— Jakem poczciw, genjalny! Tylko jeszcze rzecz jedna... Prócz mnie potrzeba dwóch świadków. Ty będziesz jeden, a drugi?

— I o tem myślałem — odparł żyd obojętnie. — Drugim będzie mój pomocnik, cyrulik, Włoch z pochodzenia, rozumiejący dobrze po polsku, bo od dziesięciu lat mieszka we Lwowie. Przywiozłem go z Werony, gdzie jak wiesz, byłem dłuższy czas lekarzem wojskowym.

— A można na niego liczyć.

— Najzupełniej! Za pięćdziesiąt guldenów zabije brata rodzonego, a za sto gotówby się pozwolić powiesić. Przytem jak każdy Włoch skryty i milczący.

— Jeżli tak, to viktoria! — zawołał dr. Czudek i po raz drugi przyjaciela uściskał. — Dam ja im! Zobaczą, z kim mają do czynienia... przekonają się, czy można mną pomiatać. A majątek także będzie... piękny majątek! Na każdego z nas wypadnie najmniej po sto tysięcy... Niech Rossowski procesuje nas potem, jeżeli będzie miał środki i sam tymczasem nie dostanie się do kryminalu.

Adwokat rozmawiał jeszcze przeszło godzinę z lekarzem, aby plan ułożyć w szczegółach najdrobniejszych, potem napisał depeszę do swojego kolegi wiedeńskiego, ułożoną tak misternie, że prócz nich dwóch, nikt by się pewnie nie domyślił, jakiej sprawy się tyczyła, a umieściwszy pod nią nazwisko zmyślone, które jednak adwokat wiedeński znał bardzo dobrze, wręczył ją Ragnerowi mówiąc:

— Bądź tak dobry, i wyszedłszy ztąd, odnieś ją sam do biura telegraficznego... albo lepiej odeszlij ją przez posługacza miejskiego, jeżeli jeszcze spotkasz jakiego. Ostrożność, to warunek pierwszy! A teraz mój drogi idź! idź! bo każdej chwili gotów Marcin nadejść, a wolałbym, żeby cię nie widział.

Ragner uznał te uwagi za całkiem słuszne i przed uderzeniem dziesiątej wyniósł się chyłkiem z mieszkania przyjaciela.

Czudek miotany obawą, pragnieniem zemsty i żądzą fortuny, chodził jeszcze jakiś czas po swojej sypialni. Kilka razy zdawało mu się, że traci odwagę, że w chwili stanowczej nie uczyni, do czego się zobowiązał, ale gdy pomyślał, że tylko w ten sposób potrafi zemstę nasycić, a przy tem zostać człowiekiem prawdziwie bogatym, do czego wzdychał od młodości najwcześniejszej, wytężył wszystkie siły i pokonał w sobie tchórza! Podsyciwszy odzyskaną odwagę nową dawką morfiny, rzucił się nierozebrany na łóżko, a duch ciemności, wpatrując się z zadowoleniem w jego twarz bladą i przedwcześnie pomarszczoną, nakrył go czarnem skrzydłem i złudnemi podszeptami do snu ukołysał.

XIX.

Wielkie było zdziwienie Juljana, gdy nazajutrz po rozmowie, którą przytoczyliśmy powyżej, otrzymał depeszę z Wiednia z żądaniem adwokata, by natychmiast tam przyjechał. Przed kilku dniami adwokat pisał mu, że sprawa dobrze stoi, że pieniądze, które jego ajent ukrył, będą z pewnością odebrane, a teraz nie podawszy przyczyn, wzywa go do Wiednia. Niegdyś, gdy serce Juljana było jeszcze wolne, a właściwie, gdy przedmiot jego miłości nie mieszkał we Lwowie, byłby bez namysłu wyjechał; teraz jednak chciał się wpierw upewnić, czy wyjazd jego jest w rzeczy samej niezbędny. W tym celu zatelegrafował do Wiednia, żądając szczegółów. Adwokat, który znać na to był przygotowany, odpowiedział ogólnikowo, ponawiając jednak przy końcu swoje żądanie w formie bardzo stanowczej. Juljan poszedł do sypialni wuja.

Pan Czarkowski usłyszawszy, co depesza zawiera, którą po dwakroć kazał sobie uważnie odczytać, rzekł:

— Trudna rada, trzeba jechać. Wszak tu się rozchodzi o kilka tysięcy, których nie można darować. Kto nie umie szanować małego, nie wart większego. Wprawdzie wolałbym, żebyś nie wyjeżdżał, ale obowiązek przedewszystkiem, zatrzymywać cię nie będę... Zresztą i mnie Bogu dzięki lepiej... byle słońca trochę, a ręczę, że wstanę. Jedź więc Juljanie, jedź, i wracaj jak najprędzej.

Wiadomość o wyjeździe Juljana, Wandzia wysłuchała z przerażeniem. Gdy zapytała siebie, co ją tak niepokoi, nie umiała znaleźć odpowiedzi, a jednak jej serce ściskało się na myśl, że musi rozłączyć się z narzeczonym. Byłoż to jakie złe przeczucie, czy tylko żal samolubny, aby ani na chwilę nie stracić z oczu tego, którego kochała? Wszakże mimo tych obaw, nie zatrzymywała go przy sobie; przeciwnie, podróż tę pochwalała, uważając ją za konieczną. Jak niegdyś jej matka nie mówiła mężowi: nie jedź! gdy ten wybierał się na tygrysa — tak teraz i ona zachowywała się na pozór spokojnie, chociaż wrzało w jej duszy. Jej matka przeczuwała ongi straszliwą katastrofę... Czyżby się coś podobnego miało i teraz powtórzyć?

Odjechał.

Na zegarze ratuszowym biła godzina siódma, gdy do mieszkania dra Czudka wpadł posługacz miejski z biletem. Adwokat drżącą ręką rozerwał

kopertę. Wewnątrz był niewielki kawałek siwego papieru, na nim ołówkiem napisane słowo: „Natychmiast!“ Podpisu nie było żadnego. Na co jednak podpisu? Czyż Czudek nie wiedział, od kogo bilet pochodzi, i do czego się odnosi? Wszak już trzeci dzień czekał na ziszczenie się przepowiedni Ragnera, który tylko o tyle okazał się mylnym prorokiem, że nie obliczył katastrofy na godzinę — i przez całe te trzy dni ani na minutę z domu nie wychodził, bojąc się, aby przyjaciel nie przysłał po niego w jego nieobecności. Nareszcie wybiła godzina stanowcza! Za chwilę miało się wszystko rozstrzygnąć…

Oddalił posługacza, karteczkę zgryzł w zębach, cwałem pobiegł do swojej sypialni, ale gdy ręką dotknął się paletota, zawahał się i stanął jak wryty. Najróżnorodniejsze myśli zaczęły mu chaotycznie kręcić się po głowie, obawa ziębiła go od stóp do głowy, tchórz brał znowu nad nim górę. I duch dobry, jakkolwiek wbrew jego woli, byłby może w końcu odniósł nad nim zwycięztwo, gdyby duch ciemności nie był skierował oka swego ulubieńca na kasę żelazną, w której była morfina. Czudek uśmiechnął się do kasy i jak zawsze, gdy się bądź wahał, bądź czuł się cierpiącym, zaapelował do morfiny, która mu otuchy dodała. Wahanie i wstrzykiwanie trwały razem ledwie kilka minut. Wkrótce dr. Mathaeus Czudek, Gerichts- und Landesadwokat, ukryty w głębi dwukonnej remizy, pędził do willi pana Czarkowskiego.

Jak się okazało, wuj Juljana chorował nie na sam tylko reumatyzm. Prócz reumatyzmu, miał on w swoim organizmie jeszcze chorobę inną i od tamtej niebezpieczniejszą, a tą były suchoty. Zbadał to dr. Ragner, a że w piersiach staruszka większa płuc połowa dawno już była stwardniała, więc czekał spokojnie na porażenie reszty. Katastrofa nastąpiła podczas rozmowy chorego z lekarzem. Pan Czarkowski, nie czując się gorzej, siedział na łóżku i słuchał doktora, który mu jakąś plotkę opowiadał. W połowie opowieści chory zakrztusił się mocniej, usta po kilkakroć szeroko otworzył, chcąc zachwycić więcej powietrza, oczy w słup postawił, i mając źrenice ciągle otwarte, upadł na posłanie. Lekarz widząc to, posłał natychmiast Wojciecha z receptą, którą miał w kieszeni przygotowaną, w minutę po jego odejściu wybiegł na ulicę, jednego posługacza posłał do Czudka, drugiego z kartką do swego domu, po owego Włocha, o którym wspominał, a sam wrócił do sypialni umierającego. Pan Czarkowski żył jeszcze, chociaż przytomność całkiem stracił, porażenie było częściowe; atak drugi i ostatni mógł nastąpić zaraz, lecz także za dzień, lub nawet później. Stanąwszy przy łożu konającego, dr. Ragner zatopił rękę pod poduszkę, zkąd wyciągnął spory pakiet rozmaitych papierów wartościowych i banknotów, owinięty w kawałek skóry czerwonej. Wziąwszy prędko połowę, ukrył ją w tylnej kieszeni surduta, a resztę położył na dawnem miejscu. W kwadrans później zjawił się dr. Czudek.

Adwokat wszedł cichutko, na palcach, jak kot gdy się za myszą skrada; tuż za nim wsunął się do pokoju signor Villani, który stosownie do instrukcji, udzielonej mu dniem poprzednio przez doktora, zatrzymał się przy drzwiach, w przyzwoitem oddaleniu od łoża konającego. Czudek, który jak każdy żołnierz walczący w obronie swoich zasad, tylko tak długo się lękał, dopóki nie ujrzał się wśród akcji, pozbył się teraz wszelkiej trwogi, i z przytomnością człowieka świadomego niebezpieczeństwa, na jakie się narażał, przystąpił do dzieła. W mgnieniu oka znalazł pióro i papier, usiadł przy łóżku i zaczął pisać. Treść testamentu była następująca:

Podpisany Konstanty Czarkowski, przytomny na umyśle i zdrów jeszcze na ciele, zostawia cały swój majątek, tak ruchomy jak nieruchomy, nie mniej wszystkie pretensje, jakie ma u innych osób, swoim dwom najlepszym i najwierniejszym przyjaciołom, którzy od dłuższego czasu składali mu dowody życzliwości bezinteresownej, mianowicie doktorowi praw, Mateuszowi Czudkowi i doktorowi medycyny, Salamonowi Ragner. Obadwa ci panowie mają się majątkiem w równych częściach podzielić. Podpisany ma wprawdzie dalekiego kuzyna, pana Juljana Rossowskiego, ale temu nie zapisuje nic, z dwóch przyczyn: Najpierw młody ten człowiek nie powodował się jego woli i szkół nie ukończył; następnie nie był swemu wujowi tak życzliwym i wdzięcznym, jak by być powinien za tyle odebranych dobrodziejstw. Dowody nieprzychylności swego siostrzeńca, podpisany zebrał już po jego wyjeździe do Wiednia. W końcu testator pomny zasług starego Wojciecha, zapisywał mu 500 guldenów. Następują podpis i data.

Spisywanie testamentu odbyło się w formie najlepszej. Dr. Czudek zapytywał umierającego, a dr. Ragner podtrzymując poduszkę, na której spoczywała jego głowa, na znak potwierdzenia szybko ją opuszczał, skutkiem czego umierający głową potrząsał. Adwokat uważając to za potwierdzenie, zapisywał co uważał za stosowne, i tym sposobem w ciągu dwudziestu minut testament był skończony. Wtedy lekarz wziął pióro, przemocą wetknął je w zimne i bezwładne palce pana Czarkowskiego, podpisał go dosyć czytelnie, naśladując ile możności charakter jego ręki — wreszcie on sam i signor Villani umieścili pod testamentem, jako świadkowie, swoje godne nazwiska. Dr. Czudek pod-

pisał się jako ten, który za dyktowaniem testatora spisał jego wolę.

Wszystko było już gotowe, gdy Wojciech z lekarstwem, zmęczony, zasapany, wszedł do pokoju. Doktor zatrzymał go w połowie drogi mówiąc:

— Właśnie pan wasz zrobił testament, a teraz będzie spał chwilę, nie trzeba mu zatem przeszkadzać. Dajcie tu lekarstwa.

Wojciech podał mu je machinalnie, a że, jak wiadomo, wzrok miał bardzo osłabiony, w pokoju zaś było prawie całkiem ciemno, więc nie dojrzał adwokata, który na palcach wyniósł się do sieni. Za nim pospieszył signor Villani. Adwokat był już na ulicy, gdy sobie przypomniał, że nie wziął nic z pieniędzy, które umierający musiał mieć pod poduszką, a gdy pomyślał, że cała gotówka może przejść w posiadanie medyka, zatrząsł się i zaklął tak gwałtownie, że aż idący za nim signor Villani z przestrachu o krok się cofnął.

Dr. Ragner siedział przy umierającym jeszcze dwie godziny; odchodząc polecił Wojciechowi, by zachowywał się jak najciszej, chory bowiem będzie prawdopodobnie spał dosyć długo, poczem niezawodnie mu się polepszy. Stary sługa stosując się do poleceń lekarza, usiadł nieopodal łóżka i po wyjściu Ragnera słuch wytężył. Wprawdzie zdawało mu się, że pan jego oddychał niezwyczajnie, niby charczał, i leżąc ciągle w jednej postawie, ani się poruszył, ale ponieważ nie przypuszczał, by to już były chwile ostatnie, więc siedział dalej na tem samem miejscu, dopóki nad ranem sen mu nie zamknął powiek znużonych.

Wojciech usnął — a pan jego wydał tymczasem tchnienie ostatnie.

XX.

Pana Czarkowskiego za życia prawie nikt nie znał i nikt się nim nie zajmował; za to gdy umarł, nazwisko jego było na wszystkich ustach, bo całe miasto jedynie o nim mówiło. Lecz nie dla tego zajmowano się jego osobą, że był oryginałem, że lubił klasyków i obrazy; o te szczegóły ogół nie pytał; ludzi przedewszystkiem to zajmowało, że stary dziwak i kutwa, jak go znajomi nazywali, zapisał swój cały i wielki majątek Czudkowi i Ragnerowi, dwom w mieście dosyć znanym osobistościom. Ten i ów słysząc to, wprawdzie głową kręcił, większość jednak uznała czyn za spełniony; i o prawomocności testamentu ani wątpiła.

Nic tak ludzi nie zniewala jak powodzenie. Jest to jedna z najsmutniejszych właściwości charakteru człowieka pospolitego, a z pospolitych ludzkość się składa, że z zamkniętemi oczyma wybija pokłony przed każdem powodzeniem. Zaledwie usłyszy, że ten lub ów otrzymał wysoki urząd, dostojeństwo lub majątek, zaraz spieszy do szczęśliwego, by mu hołd złożyć.

Powodzenie przejednywa nawet nieprzyjaciół. Przekonał się o tem najlepiej sam Czudek, gdy trzeciego dnia po śmierci pana Czarkowskiego, wracał jak według zwyczaju po czarnej kawie do domu. Dzień był piękny, na chodniku wzdłuż Wałów roiło się od przechadzających. Ktokolwiek go spotkał, czy to bliższy czy dalszy znajomy, między nimi było nawet kilku takich, którzy aż po ten dzień adwokata z góry traktowali, każdy kłaniał mu się uprzejmie, zbliżał, pozdrawiał, składał życzenia, jak gdyby Czudek spełnił jakiś czyn nader wielki lub szlachetny, za który należała mu się od ogółu pochwała i nagroda. Szczęśliwy spadkobierca, przyjmował te grzeczności protekcjonalnie, uważając je za hołd, należący się sprawiedliwie jego osobie i zasługom.

Nie mniej poszukiwanym i cenionym był w swojem kole dr. Ragner. Od tego dnia zaczęto nawet o jego zdolnościach mieć lepsze wyobrażenie, bo skoro znalazł się ktoś, co mu majątek zapisał, więc dowód to najlepszy, że ten ktoś nauczył się go cenić jako lekarza znakomitego, który za swoją pracę i naukę został nagrodzonym.

Dr. Czudek bardzo się zmartwił, gdy rejent, spisując majątek nieboszczyka, przeliczył gotówkę pod poduszką znalezioną: zamiast spodziewanych stu tysięcy, było ledwie czterdzieści. Adwokat łypnął kilka razy na lekarza, który zachowywał się spokojnie, jak człowiek, nie poczuwający się do żadnej winy; Czudek mruknął coś do siebie, czego z obecnych nikt nie dosłyszał. Ragner musiał jednak domyśleć się, co przyjaciela trapiło, bo gdy w pół godziny później wyszedł z nim na ulicę, rzekł biorąc go pod ramię:

— Mniej pieniędzy, niżeśmy się spodziewali... znacznie mniej! Tak to zwykle bywa, że bogatych robią za życia jeszcze bogatszymi, niż są w rzeczywistości. Ja sobie z tego nic nie robię, bom i z tego zadowolony co Bóg dał, ale ponieważ widziałem, że ciebie to zmartwiło, więc jako plaster na ranę twego serca, odstąpię ci bez pretensji cały skrypt Rossowskiego.

— Bardzoś wspaniałomyślny! — odrzekł Czudek. Odtąd podejrzenie jego zaczęło zmieniać się w pewność.

— Powiem ci otwarcie — odparł lekarz — że nie jest to zbytnia wspaniałomyślność. Dla mnie skrypt ten nie przedstawia wielkiej wartości, o ile bowiem wiem, Rossowski znajduje się w złych stosunkach, zwłaszcza, odkąd go zarwał ten ajent wiedeński, prócz tego, nie chciałbym pozywać kuzyna nieboszczyka... dla

mnie, jako lekarza, to nie wypada... gdy przeciwnie ty, będąc sprawiedliwym własności stróżem, a prawa obrońcą...

— Dobrze już, dobrze! — przerwał Czudek. — Dziękuję ci za ten prezent i zobaczysz, że potrafię z niego skorzystać.

— Nie wątpię! — medyk dorzucił.

Tak się rozstali.

Sąd nie wydał zaraz spadkobiercom majątku, ale ponieważ tak Czudek, jak Ragner mieli rozległe stosunki, a gdy z drugiej strony przeciw testamentowi nikt z zarzutami nie wystąpił, więc i sąd nie miał powodu zwlekać długo tej sprawy. Wkrótce też szczęśliwych, zupełnie uszczęśliwił, oddając im to, co według prawa słusznie im się należało.

(C. d. n.)

Nawrócony.

(Dok.) Te niespodziewane wiadomości wzburzyły mnie niepomału. List Rudolfa nadszedł do hotelu jeszcze przed tygodniem, cóż mogło się wydarzyć w tym przeciągu czasu. Wspomnienie serdecznego stosunku dwojga małżonków, szczęście bez granic Rudolfa, słodycz i łagodność Julji, stanęły mi żywo przed oczyma duszy, tworząc tak silny kontrast między tem co było, a co jest, że o mało nie postradałem zmysłów. Do tego przyłączyło się jeszcze niepewne ale męczące uczucie osobistej odpowiedzialności. Wprawdzie nie była to moja wina, że Rudolf tak kompromitującego rękopismu nie zamknął należycie pod kluczem, ale z drugiej strony, mój psychologiczny dyletantyzm dał powód do katastrofy. Zresztą, czyż miałem prawo słowa Rudolfa tak na serjo notować? Alboż nie znałem go dość dawno, by wiedzieć, że pod każdym względem lubił przesadzać? W każdym razie tę jego przesadę zaznaczyłem w notatkach, ale kobiety mniej się znają na tajemniczej sile takiego języka, a zraniona miłość własna jest podwójnie wrażliwą. Krótko mówiąc, nielogiczne serce robiło mi najostrzejsze wyrzuty, chociaż rozum zupełnie mnie uniewinniał, a że u nas ludzi zwyczajnych, którzy nie jesteśmy filozofami fachowymi, serce raz na zawsze przeważa, więc postanowiłem natychmiast odjechać i wspólnie z Rudolfem uradzić sposoby, jakie w tem trudnem położeniu mogłyby do celu doprowadzić.

Napisałem pospiesznie memu dorpackiemu koledze, iż ubolewam serdecznie nad jego słabością i spodziewam się dopiero go poznać za moją drugą bytnością w Berlinie w początkach września. Następnie telegrafowałem do Rudolfa, że list spóźniony dostał się w moje ręce i że jeszcze dziś wieczorem o bliższych szczegółach pomówimy.

W godzinę później unoszony parą, zdążałem do rodzinnego miejsca.

Zastałem Rudolfa na dworcu. Silna jego natura zdawała się być złamaną. Blady i smutny podał mi rękę.

— Wszystko skończone! — wyszeptał ze smutkiem.

Próbowałem go pocieszyć, ale cóż mogłem mu powiedzieć? Przedewszystkiem prosiłem, aby mi dokładnie opowiedział, co się w przeciągu tego czasu wydarzyło, jakie poczynił kroki, jakie usnuł plany. Dowiedziałem się wtenczas, że nie wiele było otuchy. Rudolfa pierwszą myślą była Edyta i baron, ale na nieszczęście opuścili dotychczasowe miejsce pobytu, by przedsięwziąć podróż do Alp bawarskich i nikt nie wiedział adresu. Rudolf przypuścił zatem do tajemnicy wyższego urzędnika policji, z którym był w przyjaźni i ten z największą oględnością rozpoczął poszukiwanie, ale aż do obecnej chwili bez najmniejszego skutku.

Szóstego dnia po zniknięciu Julji, otrzymał Rudolf list ze stemplem pocztowym Brandeburg. Mieścił tylko te słowa:

„Nie obawiaj się niczego; nic sobie złego nie zrobię. Jeżeli chcesz mi oddać przyjacielską usługę, to nie każ mnie dalej ścigać. Twoje starania w tym celu przestraszają mnie tylko, a pozostaną bezskutecznemi.

Julja."

Rudolf wyglądał teraz z gorączkowem natężeniem powrotu Weissenburga i jego żony, bo żywił przekonanie, że Julja nie przerwała stosunków z siostrą, że przeciwnie dała jej niektóre wskazówki względem tego co zaszło, oraz względem swoich zamiarów na przyszłość.

Nie opuścił odtąd żadnego pociągu bawarskiej kolei, z żelazną wytrwałością stał zawsze na swojem stanowisku. Gdy mi czas pozwalał, towarzyszyłem mu także. Czułem jak z każdym dniem potrzebował więcej mojej przyjacielskiej pociechy, obawiałem się nawet, że mógłby w napadzie wściekłości i rozpaczy popełnić jakie szaleństwo.

Wreszcie po dziesięciu dniach udręczenia, nasza wytrwałość została skutkiem uwieńczoną. Staliśmy znowu poważnie i milcząco na platformie i przeglądali wysiadających, gdy Rudolf nagle uchwycił mnie konwulsyjnie za rękę i drżącym głosem wyszeptał:

— Bogu niech będą dzięki! Edyta!

W tych kilku syllabach, a szczególniej w przygnębionym tonie, jakim je wybąknął, przebijała dla mnie cała gamma uczuć. Jeszcze przed parą miesiącami byłby może na widok tej pięknej kobiety te same wyszeptał słowa, ale jakże inaczej, z jakimże odmiennem odcieniem! Teraz zaś, w tym wykrzykniku brzmiała tylko boleść udręczonego serca, tęsknota za utraconym rajem, którego nawet najbardziej obiecujące powitanie z ust Edyty nie było wstanie zastąpić.

Zbliżyliśmy się do przybywających i powitali ich.

— Gdzie jest Julja, moja żona? — zapytał drżącemi usty.

— Twoja żona? — odparła Edyta z przestrachem. — Co mam przez to rozumieć?

— Zniknęła od trzech przeszło tygodni. Bezwątpienia musicie wiedzieć o miejscu jej pobytu?

Edyta zbladła.

— Co słyszę? Julji niema! Na miłość boską co się stało?

— Czyżbyście w istocie nie wiedzieli?...

— Ani słowa — potwierdził baron z najwyższem zdziwieniem.

Rudolf nic nie odrzekł. Spiesznym krokiem oddalił się od nas i zniknął w tłumie przyjezdnych.

Odurzeni tą wiadomością małżonkowie zarzucili mnie pytaniami. Powiedziałem im co było możebnem. Moje objaśnienia zdawały się jednak nie zadowalniać Edyty. Prosiła bym im towarzyszył do domu i tam obszerniej ją uwiadomił.

Skoro stanęliśmy w domu zastała Edyta list, który Julja w dniu swego zniknięcia oddała na pocztę. Był następującej treści:

„Najdroższa siostro! Opuszczam mego męża na zawsze; skoro upłynie pół roku usłyszysz o mnie, ale tylko w takim razie, jeżeli mi święcie przyrzeczesz, że żaden znak mego życia do niego nie dojdzie. Nie pytaj co mnie do tego nieprzewidzianego kroku znagliło, dość, że niepodobna mi dłużej jednem z nim oddychać powietrzem. O mój byt powszedni się nie troszcz. *Julja*".

Młoda kobieta zalała się łzami.

— Na wszystko co jest panu świętem! — powiedziała mi z gorącem przejęciem się, o które bym jej nawet nie posądzał — co zaszło w naszej nieobecności? Musiało jakieś straszliwe nieporozumienie nastąpić.

Zbyłem ją wymijącą odpowiedzią i pożegnałem wkrótce, obiecując iść do Rudolfa i nakłonić go do szczerej spowiedzi.

W bardzo posępnem usposobieniu wchodziłem na schody i zadzwoniłem. Zapłakana służąca otworzyła mi.

— Pan chory — powiedziała — leży na łóżku i mówi od rzeczy.

Wszedłem do skąpo oświeconego pokoju, zkąd dochodziły mnie jakieś niewyraźne jęki bolu i wściekłości.

— Rudolfie! — powiedziałem ze współczuciem — uspokój się, wszystko może się jeszcze naprawić.

Uniósł się na łóżku i wpatrzył się we mnie osłupiałym wzrokiem. Poczem potrząsnął głową uśmiechając się boleśnie.

— Nie! — podjął z goryczą — już zapóźno! Niemasz jej! ona umarła!

— Nie poddawaj że się tak, mój chłopcze! — mówiłem tonem ojcowskiej życzliwości, klepiąc go z lekka po ramieniu. — Byłem u Edyty. Julja jej przyrzekła wkrótce, może po paru miesiącach dać znać o sobie.

Zerwał się równemi nogami z łóżka. Chorobliwe osłabienie opuściło go naraz.

— Pisała do niej? Gdzie jest? Chodź, spieszmy... Dziś jeszcze muszę mówić z Edytą, o! byłem pewny, że... Edyta wie coś o niej!...

Pospiesznie chwycił ubranie. Poczem pędził tak szybko ze schodów, jak gdyby szło o schwytanie w lot szczęścia. Z trudnością tylko mogłem za nim podążać.

— Niedaj się przedwcześnie uwodzić nadziejami — rzekłem — Edyta wie tyle, co ja i ty...

— O! ona wie dosyć — przerwał mi. — Ale ja was przenikam. Wy wszyscy sprzysięgliście się z Julją, by mnie za moją zarozumiałość ukarać. Jak gdybym nie dość już był ukarany samem przeświadczeniem, iż taką niebiańską istotę zasmuciłem i obraziłem!

Nie odparłem nic. W milczeniu szliśmy dalej.

Edyta przyjęła nas w trudnem do opisania wzburzeniu. Upłynęła chwila czasu, nim przyszliśmy do słowa.

Rudolf wodził dokoła niepewnym i nieśmiałym wzrokiem, jak gdyby tę straconą, tu w domu jej siostry, mógł odnaleźć.

— Rudolfie — rzekła nakoniec Edyta z obawą i wyrzutem...

Wtedy ten silny człowiek rzucił się przed nią na kolana i zaczął łkać głośno, jak chore, gorączkujące dziecko.

— Chcę wszystko, wszystko wyznać! — jęknął w rozpaczy — zakończcie tylko mękę tej niepewności! Ty wiesz, że bez niej jestem najnędzniejszym człowiekiem pod słońcem. Oddaj mi moją Julję, moją jedynie ukochaną i uwielbioną Julję lub śmierć!

Byłem głęboko wstrząśnięty. Czyżto ten sam człowiek, który czerwoną czarownicę poślubił, by mieć utorowaną drogę do jej siostry? Czyż była to ta sama kobieta dla której sądził, że ma prawo kochające serce dziewicze zdeptać rozmyślnie? Leżał teraz u nóg jej... cel jego zuchwałych marzeń był powierzchownie osiągnięty, ale jakżeż odmienną była osnowa, którą przeznaczenie nadawało tej sytuacji! Od niej, która usidlającym blaskiem swej piękności oślepiła go niegdyś, domagał się teraz zwrotu tego skromnego klejnotu, za pomocą którego pragnął go zdobyć! Cóż przeszkadzało mu teraz korzystać z obecnej chwili? Może Edyta mniej była piękną niż przedtem? Przeciwnie, to wewnętrzne wzruszenie zdawało się ją jeszcze opromieniać.

Stałem jak przykuty do miejsca, niemogąc oderwać oczu od tego zachwycającego obrazu, w którym każda linia nosiła cechę gracji i wdzięku... a Rudolf patrzał na tę czarowną boginię, niedając przystępu żadnym innym uczuciom prócz boleści za swoją Julją.

Na nieszczęście, ta godna pamięci scena do żadnego nie doprowadziła rezultatu; Rudolf opowiadał, Edyta rumieniła się i bladła na przemiany, baron przygryzał usta i potrząsał głową, ale nikt nie wiedział co na to poradzić. Zawiedziony w swej ostatniej nadziei, Rudolf wysunął się ztamtąd ukradkiem, odpychając ostro i bez czucia wszelkie perswazje swego równie rozsądnego jak wspaniałomyślnego szwagra, oraz zapewnienia Edyty, że mu przebacza.

* * *

Nadeszła jesień, a w położeniu rzeczy nie zaszła najmniejsza zmiana. Bezimienne ogłoszenia, w najbardziej czytywanych dziennikach, pozostały bezskutecznemi. Starania Edyty i jej małżonka dowiodły tylko, jak nieobecna stale była zdecydowaną doprowadzić do skutku swoje zamiary.

Profesor Kornelius naznaczył mi dzień 28. września na naszą naukową schadzkę. Wieczór 27. poszedłem raz jeszcze przed wyjazdem odwiedzić mego nieszczęśliwego przyjaciela, który istotnie przedstawiał obraz godny litości.

Zastałem go nad robotą, gdyż udało mi się po długich namowach nakłonić go do podjęcia na nowo swoich literackich zajęć, ale jakże on pracował! Mechanicznie i bez zajęcia zbierał materyały, mechanicznie także porządkował i krytykował, o prawdziwem tworzeniu nie mogło być mowy; własnej nawet boleści nie był wstanie sformułować.

Smutny los tego tak niegdyś pełnego życia i lekkomyślnego towarzysza młodości, zajmował mnie ciągle w czasie podróży. Blada i wynędzniała twarz, oraz smutny

głos, jakim mi życzył szczęśliwej drogi, ścigały mnie natrętnie i nawet we śnie, mnie prześladowały. Nazajutrz obudziłem się późno, w złem usposobieniu.

Do spotkania się z moim dorpackim kolegą miałem jeszcze cztery godziny czasu. Postanowiłem zatem zrobić wycieczkę do Friedrichshain. Niewiem co moje myśli w to właśnie miejsce popchnęło. Może też instynktowe życzenie uniknięcia znajomych twarzy, skłoniło mnie do wybrania tej odległej części miasta.

Gdy zboczyłem na plac Aleksandra, spostrzegłem wysmukłą postać, która lekkim krokiem pospieszała przedemną. To zjawisko zwróciło moją uwagę. Zdawało mi się, że budzi we mnie dalekie wspomnienie, a jednakże nie przeczuwałem, co w kilka minut później miałem odkryć. Z bocznej ulicy wyjechał w pędzie wóz. Dama usunęła się z przestrachem na bok i obróciła głowę; a ja poznałem Julję!

Zawahałem się, ale tylko jedną chwilę. I natychmiast stanąłem przed nią.

Spojrzała na mnie z osłupieniem, jak na senne widziadło. Poczem oblała się rumieńcem; usta jej poruszyły się, jak gdyby chciała wyszeptać jakieś zaklęcie, ale nie mogla wydobyć z siebie słowa.

— Nareszcie panią znajdujemy! — zawołałem drżącym głosem. — O gdybyś przeczuwała ile nam zgotowałaś cierpień!

— Czy być może? — zapytała z goryczą; — ach! to przejdzie, tak jak i moje zmartwienie minęło. Spodziewam się po pańskim honorze, że mnie nie zdradzisz. Zmusiłbyś mnie tylko do zmiany miejsca mego pobytu...

— Pani Juljo! co mówisz? Czyż mogłabyś na serjo przypuszczać, że cię tak łatwo puszczę! Nie, ja wiem lepiej co winien jestem nieszczęśliwemu przyjacielowi!

Z trudnością udało mi się wytłómaczyć jej nareszcie, że podług wszelkich prawideł sprawiedliwości, powinna przynajmniej mnie wysłuchać. Próbowała kilkakrotnie wyrwać mi się, ale ściskałem tak mocno jej rękę, że w innych okolicznościach byłoby to impertynencją. Zaczęliśmy w końcu zwracać publiczną uwagę, musiała zatem przystać na towarzyszenie mi do Friedrichshain, chociaż z widocznem niezadowoleniem.

Podałem jej ramię i opowiedziałem teraz, używając całej mojej wymowy, jak bardzo Rudolf odmienił się od owego dnia płochej zarozumiałości, jak wiele dla niej prawdziwie ukochanej swego serca ucierpiał, jak nędznym był teraz bez jej uszczęśliwiającej miłości.

Nie przerywała mi żadnem słowem. Gdym skończył, potrząsnęła głową uśmiechając się boleśnie.

— Wszystko napróżno — powiedziała głosem bez dźwięku — łudzisz się pan co do wartości takich zmian. Być może, iż żałuje on poniewczasie, ale dzień i noc jak przekleństwo ściga zbrodniarza. Kto wie, czy on nie dlatego tylko tak bardzo czuje brak mojej osoby, że jego tajemne zamiary przez moją nieobecność są pokrzyżowane. Jest to zapewne bolesne, tak blizkim będąc celu, stracić narzędzie, z pomocą którego miał nadzieję tenże cel osiągnąć.

Nie wiedziałem jak sobie radzić. Zboczyliśmy do gęstego gaiku i usiedli w milczeniu na kamiennej ławeczce. Wrześniowe słońce świeciło tak błogo na zasłanych opadłemi liśćmi drogach, niebo spoglądało tak łagodnie przez lekko kołyszące się gałązki, że ostra i stanowcza odmowa, tej zwykle tak łagodnej kobiecej natury, raziła mnie prawie jak dysharmonijny akord. Wprawdzie to dumne, kochające serce zanadto było udręczonem, aby tak prędko zaufać mogło. Nie należało mi tracić odwagi: trzeba było jeszcze zapewniać ją na nowo o tem, czemu jej strwożone serce uwierzyć jeszcze nie śmiało.

— Pani Juljo — powiedziałem po długim namyśle — Edyta wie wszystko. On się jej wyspowiadał, on błagał o jej pomoc!...

Przestraszyła się jeszcze bardziej.

— Tego ona strzedz się będzie — odparła z goryczą.

— Czy wątpisz pani o mojej prawdomówności?

— Jesteś pan jego przyjacielem — rzekła wzruszając ramionami — dlaczegóż teraz dopiero przychodzi ci na myśl czynić mi te zdumiewające zwierzenia?

— Chciałem cię oszczędzać... sądziłem...

Zaprzeczyła mi ruchem ręki.

— Nie — odparła boleśnie. — Raz mnie oszukano i stałam się mądrzejszą. Po tej mistrzowskiej komedji, wasze małe fortele są bezskuteczne.

Wszelkie usiłowania, by ją o szczerości mych zapewnień przekonać, rozbiły się o niczem niezachwiany upór i niedowierzanie.

— Wierzaj mi — powiedziała z udanym spokojem, odrzuciwszy już kilkakrotnie moje usiłowania — nie jest to dziecinny upór, który mnie do wytrwałości w tem postanowieniu nakłania. Czuję to aż nadto dobrze, że człowiek, który pokochał Edytę, dla takiego jak ja stworzenia nie może już żadnego zachować uczucia. Powiedz mu, że to wszystko pojmuję, że mu przebaczam, ale wrócić do tej nieustającej męki i wiecznie cierń rozpaczy nosić w piersiach, jest to więcej aniżeli znieść mogę, byłoby to moją śmiercią!

Podniosła się.

— I w ten sposób chcesz się pani ze mną rozstać? — zapytałem smutnie. — To nie może być na serjo! Objaśnij mnie przynajmniej co do zewnętrznych form twego utrzymania. Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie niepokój o twoje dobro dręczył.

— Czyż nie pisałam do Edyty, że niema powodu o mnie się obawiać? Pracuję, to musi wam wystarczać. A teraz, bywaj pan zdrów. Twoje słowo jest mi rękojmią, że będziesz milczał...

Odwróciła się, by odejść, pochwyciłem jej rękę.

— Juljo! — zawołałem głosem bolesnego wzruszenia — jeżeli mego nieszczęśliwego przyjaciela kiedykolwiek kochałaś, jeżeli jeszcze w twojem sercu pozostała choć iskierka litości, to spełnij moją jedyną i ostatnią prośbę, jaką do pani zaniosę.

— A ta jest?

— Powiedz mi gdzie mieszkasz, pozwól mi odwiedzić cię jutro przed południem.

— A to w jakim celu?

— Mam pani jeszcze... wiele ważnych wiadomości udzielić.

— To mów pan, proszę, jestem do twego rozporządzenia.

— Nie teraz, jutro, potrzebuję przysposobić się.

Zacisnęła szydersko usta.

— Zresztą, niech i tak będzie. Od jedenastej do dwunastej jestem w domu. Na cóżby się wreszcie przydało odmówić. Ścigałbyś mnie narzucając swoje dobre zamiary, i tajemnica tak czy owak odkrytą by została. Mieszkam na placu Aleksandra, przy rogu Sophienstrasse...

— Dziękuję, a teraz mówmy o czem innem. Niechcę, abyś mi pani drugi raz wyrzucała, że się narzucam z mojemi dobremi zamiarami.

Wracaliśmy do domu. Rozmowa urywała się kilkakrotnie. Moje zamiary zajmowały mnie w samej rzeczy tak bardzo, że nawpół tylko słuchałem jej rozmowy, zresztą bardzo konwencjonalnej.

Doszedłszy do placu Aleksandra, pożegnała mnie.

Ja pobiegłem natychmiast do bióra telegraficznego, aby uwiadomić Edytę o tem co zaszło. Prosiłem ją aby to tymczasem zachowała w tajemnicy, i o ile można najwcześniej, choćby dziś jeszcze, do Berlina przyjechała. We trzy godziny miałem odpowiedź. Edyty depesza brzmiała:

„Oczekuj mnie pan jutro o w pół do dziesiątej na dworcu kolei.“

Resztę dnia przepędziłem w gorączkowej niecierpliwości. Długo jeszcze po północy siedziałem w moim pokoju i rozważałem co może nastąpić w niedalekiej przyszłości. Następnego dnia byłem już o ósmej godzinie na moim stanowisku. Cztery pociągi widziałem przychodzące i odchodzące, aż w końcu wybiła upragniona godzina. Edyta była blada i zmieniona, ale w pełnem nadziei usposobieniu. Odprowadziłem ją do hotelu i opowiedziałem w drodze z obszerną dokładnością co się od wczoraj wydarzyło. Tymczasem było już w pół do jedenastej. Wzruszona młoda kobieta z trudnością dała się namówić do przyjęcia małego posiłku. Chciała przyśpieszyć stanowczą chwilę. Jeszcze przed umówioną godziną, wchodziliśmy po krętych schodach do mieszkania Julji. Drzwi się otwarły i dwie siostry stanęły naprzeciw siebie, pozbawione mowy, by następnie z głośnym płaczem rzucić się sobie na szyję.

Z ust Edyty dowiedziała się teraz Julja, po raz drugi o tem, czemu z ust podejrzanego przyjaciela grzesznika wierzyć nie chciała. My mężczyźni jesteśmy jednak złymi krasomówcami; uczułem to teraz, przy usidlających i pochlebnych słowach Edyty. Prawdziwie zrobiłem co tylko mogłem, ale jakże ona inaczej umiała przedstawić żal i tęsknotę opuszczonego! Jak porywająco mówiła o obowiązkach serca kobiecego. które przebaczać i cierpieć musi! Jak zwodniczo i czule brzmiał drżący dźwięk jej melodyjnego głosu! Gdy skończyła, złamany był opór i niedowierzanie, a z ust odnalezionej zabrzmiało łagodne pojednanie: Tak!

Byłem tyle niegrzecznym, by memu dorpackiemu koledze równe równem odpłacić, to jest zostawić go tak, jak on mnie zostawił. Z powodu nagłych przeszkód nie mogła nasza schadzka na 28. przyjść do skutku, mimo najlepszych chęci. Prosiłem aby ją do 1. października odłożył, obiecując stawić się niechybnie w tym dniu i stanąć w hotelu Rzymskim, mieszkanie Nr. 43. Czas pozostały chciałem użyć na to, by moim protegowanym z uczuciem własnej godności, jako deus ex machina, do rodzinnego miejsca towarzyszyć. Było to ich wyłącznem życzeniem, abym ja, jako istotny pośrednik tej zawikłanej sprawy, także przewodniczył przy ostatnim akcie dramatu. Edyta i baron chcieli dopiero wtedy powinszować szwagrowi, gdy wszystko po dawnemu wróci do błogiego porządku.

Przygotowany byłem do gwałtownej, pełnej wrażeń sceny, i ujrzałem się znowu zawiedzionym jak profesor Kornelius przy odbiorze mojej odmownej odpowiedzi. Małżonkowie rzucili się sobie na szyję, tak samo, jak poprzednio dwie siostry, i trzymali się długo, długo uściśnieni, tak że ja usunięty do roli zbytecznego świadka, powziąłem postanowienie, jedynie stosowne w takich okolicznościach, aby zbyt szczęśliwych, na teraz, zostawić samych. Dopiero następnego dnia po południu odszukali mnie i zarzucili podziękowaniami i zapewnieniami przyjaźni, które dla mego czułego serca były w istocie balsamem: gdyż ten przeklęty chociaż niezasłużony skutek mego psychologicznego szkicu, ciężył mi na sercu w nieznośny sposób.

To, co Rudolf w czasie dwóch ostatnich miesięcy napisał w swoim romansie „Czarne natury“ poszło bez litości w ogień!

— Zieloność rozwija się tylko pod słonecznym promieniem — utrzymywał — te zaś listki w ciemnościach się rozwinęły.

Pod tchnieniem odzyskanej miłości, wykończył w następnym roku inne znakomite dzieło, które bez zaprzeczenia należy do najcenniejszych utworów teraźniejszej literatury.

Rudolf miewa jeszcze pewien pociąg do szaleństw, ale ze swej lekkomyślnej zarozumiałości, jaką odznaczał się w młodych latach, jest on, dzięki Czerwonej Julji, zupełnie uleczonym.

KONIEC.

NAJNOWSZE PODRÓŻE STANLEY'A I CAMERON'A.

ZE WSCHODU NA ZACHÓD AFRYKI.

(Dokończenie. Zob. zesz. 9, str. 275.)

Nazajutrz rano dwóch paziów cesarskich przybiegło do Stanleya, ażeby go wieźdź ku pałacowi. Zarzuciwszy strzelbę na ramię, a otoczywszy się ludźmi swej skromnej eskorty, Stanley zdążał ku obszernym szałasom, które tworzą mieszkanie murzyńskiego możnowładcy. Czekał już na niego Mtessa w gronie swych oficerów, uszykowanych podług stopnia godności; jedni siedzieli, drudzy w kornej zostawali postawie. Tworzyli oni półkole zakończone paziami, strażą przyboczną i doboszami. Na widok Stanleya, Mtessa wyszedł kilka kroków naprzeciw wchodzącego. W tej samej chwili uderzono w bębny, a wszyscy wojskowi czy dworzanie z uszanowaniem powstali. Tu wypada nam przytoczyć dosłowny Stanleya opis.

„Kabaka“ Ugandy jest wysokim, smukłym mężczyzną, oczy jego są nadzwyczajnie piękne i łzawe, ogólny

wyraz twarzy uderza uprzejmą godnością. Przypatrywał mi się z uwagą i przez chwilę oczy nasze się spotkały, ponieważ wzajemnie ciekawość nasza szukała zaspokojenia.

Po kilku dniach pobytu, Stanley pisał: Mtessa jest bezwątpienia człowiekiem rzadkiej moralnej wartości, bystrość jego umysłu jest uderzająca. Musiałbym się grubo pomylić, gdyby nie jemu przypadło w udziale posłannictwo oświecenia tych ludów w cieniach śmierci uśpionych. Zasługuje on na najżywsze współczucie i poparcie ze strony Europy, bo jeżeli mu pomocy nie zbraknie, wyrośnie on na pochodnią Środkowéj Afryki."

Czytamy daléj:

„Przekonywam się codziennie naocznie, że Mtessa jest potężnym monarchą, i że wpływ niemały wywiera na sąsiednich możnowładzców. Król Usui, wojowniczy Mankorongo, tudzież straszny Mirambo, którego samo imię sieje trwogę na sto mil w około, nadesłali tu posłów z haraczem. Mtessa ma przeszło trzy tysiące prawie ucywilizowanego żołnierza. Poznałem tu około stu przywódzców, nie ustępujących bynajmniéj mieszkańcom Zanzibaru. Podobnież bywają uzbrojeni i w bogate przybrani szaty. Z podziwem ujrzałem ład i prawa w kraju, pogrążonym przed kilku jeszcze laty w grubym barbarzyństwa pomroku."

Przyznać należy, iż te szybkie odmiany nastąpiły skutkiem samych usiłowań gorliwego muzułmana, Muleja-ben-Salim. On przekonał Mtessę o całéj głupocie i poniżeniu wyobrażeń pogańskich, w jakich wyrósł. Prawdy tu i owdzie rozsiane wśród błędów Koranu, względna wyższość moralności oczarowała młodego monarchę. W krótkim czasu okresie dziki możnowładzca wyrósł na męża o spokojnem i pełnem ogłady obejściu, odtąd rzadkich swych zdolności używając przeważnie ku poprawie swego ludu. Sam zapał, z jakim rzucił się na łono Islamu, pozwala nam wnioskować, jak cudowne owoce wyższa i lepsza nauka byłaby niezawodnie wydała w duszy tak dalece ku dobremu sposobnej, w umyśle tak chętnym i pojętnym dla wszystkiego, co szlachetne i wzniosłe.

Stanley rychło to spostrzegł i zrozumiał. W Ameryce, podobnie jak w Anglii, ludzie nauki i talentu, mężowie hartu i siły, przedewszystkiem bywają z przekonania gorliwymi chrześcianinami. Podróżny nasz umiał korzystać z czci niezmiernéj, jaką Mtessa wyznawał dla wiedzy, wspaniałomyślności i umiarkowania Europejczyków. Nie trudno mu przyszło dowodnie przekonać monarchę Ugandy, iż wszystkie owe przymioty i wyższości białych ludzi wypływają z posiadania czystszej prawdy. Wyłożył mu nauki Zbawiciela, opowiedział życie jego: przedstawił mu przepaść, rozdzielającą Boga chrześcian, Boga miłości od nieubłaganego Ałłacha lub proroka Mahometa, który przepisuje Arabom niby zobowiązujące przykazania, aby zgładzali ze świata i wyrzynali niewiernych.

Bardziej wprawiony do czynu, aniżeli słowa, Stanley z wielką wyrażał się prostotą. Posiadał jednak z serca płynącą wymowę, a Mtessa chciwem mu się przysłuchiwał uchem. Tem bardziej opłakiwać wypada, iż monarcha, tak godny poznania i znalezienia Prawdy, tak gorąco jej spragniony, nie mógł jéj dotąd posiąść w całej zupełności.

Chociaż owe konferencje długie zajmowały godziny, Mtessa znalazł chwile wolne, aby gościa swego bawić królewskiemi łowami, lub regatami na jeziorze. Niewiasty haremu przyglądały się zwykle tym widowiskom, a wtedy Stanley, który starannem ubraniem podnosił jeszcze przyrodzone wdzięki dorodnej postawy, zwracał na się kilka set ciemnych oczu, łagodnych i lękliwych, jak oczy gazelli.

— Widzisz, jak ci się moje kobiety przyglądają ciekawie, — mawiał, śmiejąc się Mtessa, — nie bój się, nie jestem zazdrosnym.

Nasz podróżny ze swojej strony folgował ciekawości, zupełnie zresztą niewinnéj, aby się przypatrzeć pięknościom Ugandy, ponieważ wnioskował, że najpiękniejsze kwiaty zapewne w cesarskim ukrywały się haremie. Zdaje się jednak, że gust europejski różnić się musi od murzyńskiego, bo chociaż Stanley nie widział w gronie ulubienic monarszych żadnéj próbki potwornego wytuczenia mlekiem, ani owej tuszy, tak drastycznie przez Speka opisywanej, zaledwie dopatrzył się 20stu, które jaką taką odznaczały się krasą. — A i między niemi trzy zaledwie prawdziwą chlubiły się urodą. — Mimo kędzierzawych włosów, które są cechą rasy murzyńskiej, delikatnością rysów i cery, raczej należały do mięszanej rasy, aniżeli do plemienia czysto afrykańskiego. Poeta Hafiz niezawodnie byłby je przyrównał do smukłych drzew palmowych, lub srebrnych promieni księżyca. Stanley wskazał je z uwielbieniem cesarskiemu ich oblubieńcowi Lecz o marności i niestałości ludzkich sądów! Mtessa uśmiechnął się pogardliwie: uroda kobiet, podobnie jak mnóstwo innych rzeczy zależy od strefy i południka geograficznego.

Po dwutygodniowym pobycie Stanley zamierzał pospieszyć po resztę swojej karawany, gdy pewnego razu Mtessa oświadczył żywo, iż mu zapowiadano na dzień następny innego jeszcze białego gościa.

— Zapewne jakiego Araba?

— Wcale nie, zupełnie białego, podobnego do ciebie!

— To być nie może!

— Przekonasz się naocznie; — przybył on z Kairu wraz z Gordonem baszą.

Te słowa dawały klucz zagadki. Wiadomo bowiem, iż pod łaskawemi rządami Khedywy rząd angielski wysłał nad wybrzeża wyższego Nilu najprzód sir Samuela Bakera, później półkownika Gordona, celem zniesienia handlu niewolnikami, zaprowadzenia komunikacji i ustalenia postępów oświaty pod protektoratem Egiptu, a pośrednio i państw cywilizowanych Zachodu. Podróżnik zapowiedziany Mtessie musiał być niezawodnie oderwanym członkiem głównej wyprawy.

Nazajutrz przybył gość spodziewany, uszykowane wojska powitały go z honorami wojennemi. Wstępując do szałasu monarchy murzyńskiego, zdziwił się niepomału, spostrzegając obok Mtessy białego człowieka, który zdawał się pozostawać z czarnym możnowładzcą na stopie wielkiej poufałości. Nowoprzybyły zrazu wziął go za Camerona, o którego wyprawie otrzymał był wiadomość.

Amerykanin sam się przedstawił i nazwał. Na to nieznajomy odpowiedział:

— Jestem Linaut de Bellefonds, adjutant Gordona Passy.

Przywitali się wzajemnym ukłonem, jak gdyby to spot-

kanie nastąpiło w którym salonie paryskim lub nowojorskim. Posłuchanie cesarskie z zwykłą etykietą się odbyło. Skoro tylko onego koniec nastąpił, nasi podróżni na długą zeszli się pogadankę. W podobnych okolicznościach wzajemna sympatja szybko rozwijać się musi. Synowie jednakiéj cywilizacji, aczkolwiek w dalekich i różnych urodzeni strefach, tu się czuli ziomkami i braćmi. Najmilsze godziny szybko im upływały na przyjacielskiej gawędzie o starej Europie, lub młodej Ameryce. Rozwodzili się nad przyszłością tych dalekich krain, gdzie się znajdowali. Stanley, wciąż myślą religijnego prozelityzmu zajęty, z żywą radością dowiedział się, iż pan Linaut de Bellefonds, aczkolwiek z urodzenia Francuz, należy do wyznania protestanckiego. Rozpoczęli teraz wspólnie religijne z Mtessą konferencje, — a monarcha Ugandy niemałe objawił zdumienie, widząc jednolitość przekonań u dwóch mężów, z których jeden przybył z północy, a drugi z południa. Zaiste było się czemu dziwić, bo protestantyzm nierównie więcéj niepodległością, jak jednością słynie, a pojedyńcze sekty nieraz większe między sobą przedstawiają różnice od saméj nawet przepaści, która ich od katolicyzmu rozgradza. Stanley podaje nam bezwiednie wytłómaczenie fenomenu, który mu tak wielką sprawiał rozkosz i pociechę: — w rozmowach swych z Mtessą umiał roztropnie omijać trudniejsze dogmatyki kwestje, ograniczając się na przedstawieniu mu promienistej Zbawiciela postaci i opowiadaniu Jego ziemskiego żywota.

— Do widzenia Linaucie, do widzenia! wspomnij na słowa moje! za miesiąc powrócę, jeżeli cię tu już nie zastanę, uprzedź twych przyjaciół z Ismailii (Gondokoro), że mnie niebawem na jeziorze Alberta zobaczą!

W ten sposób Stanley żegnał swego nowego przyjaciela p. Linaut de Bellefonds. Nie miały się jednak owe przyrzeczenia spełnić, w tej przynajmniej podróży. Fale jeziora Alberta nie ujrzały dotąd śmiałego Amerykanina. Ale nie wyprzedzajmy biegu zdarzeń.

Szalupa L a d y A l i c e teraz okrążała zachodnie wybrzeże jeziora, aby przeciwną stroną do Kagehyi powrócić. Zrazu nasi wędrowcy pozostawali w granicach Ugandy; liczne osady, urodzajne równiny, leśne wzgórza, góry malownicze na przemian nęciły ich oczy; zawinęli po niejakim czasie do zatoki, otoczonej odwiecznemi drzewami, gdzie znajdowało się ujście potężnej rzeki, na 150 metrów szerokiej; był to Nil-Aleksandry, naturalna granica królestwa Ugandy i Karague. Rrzeka ta głębokością i rozmiarami zostawia po za sobą Szymeju; obie te posiłkujące wody zlewając się razem, mogłyby utworzyć rzekę podobną tej, która na północ wypływa z jeziora Wiktoryi i na skalistem łożysku tworzy katarakty Riponu.

Dotychczas nasi żeglarze trzymali się przychylnych im wybrzeży; rychło postać rzeczy, stanowczej uledz miała przemianie, zbliżano się bowiem do wysp Bumbirele, gdzie w kilka miesięcy później zajść miał epizod, który nie bez pewnej słuszności tak bardzo Stanleyowi zarzucano.

Od wielu dni nie było podobieństwa zaopatrzyć się w żywność, a żołądki wioślarzy, podrażnione trudem, gwałtem wymagały lepszego pożywienia od chudych porcyj, jakie im wydzielano. Na brzegach rozciągały się pola starannie uprawne; trzody pasły się na pochyłości gór, drzewa bananowe liczne ocieniały wioski. Tymczasem krajowcy usuwali się od wszelkiego z przybyszami stosunku, daremnie ich braćmi, przyjaciołmi nazywano, próbując ich uprzejmością zwabić. Zamiast odpowiedzi, przyjmowali szalupę gradem kamieni, lub sposobili broń swoją i łuki.

Ludzie głodni nie łatwo odstępują od zamierzonego przedsięwzięcia. Powtórne próby zawiązania przyjaznych stosunków zapowiadały lepszy skutek. Krajowcy długie prowadzili między sobą narady, zrazu w oddali, następnie coraz bliżej szalupy znajdującej się blizko bramy o dwa trzy metry od brzegu. Stanley zauważył, iż mówili po cichu, ale z wielkim zapałem. W tem stu ludzi obskoczyło nagle szalupę, pochwycili za liny, i nim się załoga opatrzeć zdołała, już drobny statek osiadł na mieliźnie.

„Wtedy rozpoczęła się scena nie do opisania. Pandemonium nas otaczało z rojem czarnych szatanów wściekle uwijających się w około. Las włóczni nam groził, naciągnięte łuki lekkiego tylko wyglądały drgnięcia, aby wypuścić ku nam zaostrzone strzały. Ciężkie maczugi kołysały się nad głowami naszemi; dwieście wrogów z piekła wypadłych wyło przeraźliwie, uganiając się o zaszczyt zadania pierwszych ciosów garstce ludzi popadłej w ich ręce.“

Od pierwszej zaraz chwili nasz Amerykanin postanowił drogo okupić śmierć swoję, i stanął hardo z pistoletami w obu rękach. Tymczasem pewien Arab z eskorty, nazwiskiem Safeni, błagał pana swego, aby mu pozwolił spróbować jeszcze środków porozumienia i układu. Założywszy ręce na piersi, w ten sposób zagadnął dziką tłuszczę:

— Cóż za wściekłość wami miota? czy możecie się lękać dziesięciu zaledwie mężów, którzy ku wam bratnie wyciągają dłonie? Chcemy tylko u was kupić kilka miar zboża i parę banan, poczem w dalszą popłyniemy drogę.

Kilku z napastników przystanęło, aby usłyszeć ową pokojową przemowę, inni zaś, przyskakując do pośrednika zgody, powalili go na ziemię. Bóg wie, jaki obrót rzeczy byłyby w tej chwili wzięły, gdyby Stanley, nie wypuszczając z dłoni nabitych rewolwerów nie był się zwrócił do starca, który widocznie chciał od pewnego czasu hamować mściwe zapędy tłuszczy. Ukazał mu z daleka szklanne paciorki, perkaliki wzorzyste, nareszcie wspomniał nazwisko Mtessy.

Wszystko daremnie! Murzyni cofnęli się wprawdzie o parę kroków, ale wiosła przy sobie zatrzymali: rychło w sąsiedniej wiosce dały się słyszeć odgłosy bębnów, a jednocześnie na okolicznych wzgórzach ukazywały się coraz nowe posiłki.

Safeni nawet stracił otuchę.

— Wybiła godzina niebezpieczeństwa. Sposóbmy się na nią, panie mój!

— Co do mnie, gotów jestem: patrzcie raczéj siebie: czy broń macie nabitą?

— Tak jest, panie nasz!

— Tem lepiej, szepnął Stanley.

Poczem dodał jeszcze:

— Słuchaj Safeni, weź te dwie sztuki czerwonego

perkalu i przystąp z niemi ku murzynom, ażeby uwagę ich zająć. Na głos mój, zwróć się szybko, i biegnij co sił ci stanie ku łodzi. — Wy zaś dzieci, dodał obracając się ku majtkom, macie oto sposobność okazania mi, czém jesteście. Chodzi tu o życie, jak się łatwo przekonać możecie. Ustawcie się tedy po obu stronach szalupy, niby od niechcenia ręce na niej opierając. Jak tylko dam wam znak, wszystkiemi siłami spróbujecie ją zepchnąć do wody. Czy podołacie zadaniu?

— Inshałłach! panie nasz, uczynimy, co rozkażesz, — odpowiedzieli jednogłośnie.

Śmiały ten zamiar został doprowadzony do skutku. W chwili, gdy szalupa zsuwać się zaczęła, Stanley zawołał na swego wysłańca:

— Wracaj Safeni, wracaj czemprędzej.

Ale murzyni baczne na wszystko mieli oko: Jakby za poruszeniem sprężyny, runęli spólnie z wszystkich pagórków ku jezioru.

— Do wody z szalupą! — gromko komenderował przywódzca.

Jakoż po chwili Lady Alice kołysała się ponownie na mokrej fali. Rozkazano majtkom w miejsce wioseł chwycić za kilka oderwanych desek, podczas gdy Stanley sam pozostawał u steru.

Safeni dopadł brzegu, gdzie przystanął z pewnem wahaniem, nie spostrzegając, że jeden z napastników ku niemu wyciągniętą skierował włócznią.

— Dalej do wody! — zawołał Stanley. A jednocześnie wypalił z rewolweru. Pierwszy wystrzał położył dwóch ludzi, następny rzucił popłoch w szeregi wrogów. Tymczasem za pomocą improwizowanych wioseł statek europejski niegościnne opuszczał wybrzeża. Zawodem rozwścieklen, murzyni dopadli swych łódek. Po dwa razy przyszło im się cofać pod morderczym ogniem Stanleya. Kilka łodzi rzuciło się w pogoń za szalupą, dwie z nich zatonęły; zmuszeni do odwrotu, barbarzyńcy przyznali wyższość i zwycięztwo białego człowieka.

— Obyście zginęli wszyscy w głębokościach Nyansy!

Owe przekleństwa ścigały naszych żeglarzy wraz z chmurą strzał, niezdolnych już ich dosięgnąć.

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Illustracja kwestji rozwodowej. Znajdujemy się w starożytnym „ogrodzie Francji“, w okolicy miasta Blois, w zamku Menars. który przed kilku dniami sprzedanym został na sądowej licytacji w Paryżu przedsiębiorcy kolejowemu, p. Vatel, za sumę 920.000 fr. nie licząc w cenę kupna obrazów i mebli starożytnych, nabytych przez ministerjum oświecenia na rzecz państwa.

Prawie miljon za nagie ściany zamku! dowodzi to przedewszystkiem, że królowie kolejowi są dzisiaj istotnymi królami ziemi; skoro jednak zamki bywają co dnia sprzedawane, spytacie, cóż jest właściwie szczególnego w tej sprawie?

Szczególnym tu jest sam proces, który sprowadził pyszną posiadłość pod młot licytatora, gdyż zamek Menars jest własnością owej to słynnej księżny Beauffremont, której sprawa rozwodowa zapełniła sążnistemi fascykułami szafy sądów francuzkich.

Księżna Beauffremont urodzona w tym właśnie zamku Menars, otrzymała wychowanie w stylu arystokratycznych, starożytnych rodzin, gdy młoda księżniczka liczyła lat 17, przedstawili ją rodzice na kwitnącym podówczas dworze cesarzowej Eugenji.

Kojarzenie małżeństw było jedną ze specjalnych namiętności małżonki Napoleona III. Roczniki sądowe dowodzą, że te małżeństwa, dokonywane *par ordre du mufti*, nie należą do najszczęśliwszych; dosyć że cesarzowa protegowała młodą księżniczkę i wydała ją wreszcie za młodego, na dworze bardzo lubianego kapitana. księcia de Beauffremont.

Szczegóły tu podane zostały stwierdzone w licznych procesach, które małżeństwo, patronowane przez nieszczęśliwą cesarzową, zrodziło.

Księżniczka nie chciała podówczas wyjść za oficera, ponieważ wojskowi — jak mówiła — mają gwałtowne obejście, a przytem przyzwyczajona do najwytworniejszego zbytku, nie miała żadnej ochoty do życia garnizonowego. Książe więc musiał przyrzec, że porzuci swój zawód wojskowy; czy przyrzeczenie dał — nie wiemy, że go jednak nie dotrzymał, dowiodły dziesiątki procesów. Wlókł on delikatną księżnę z jednego miejsca na drugie, w ślad za swym pułkiem, zostawiając ją na dłuższy czas w podrzędniejszych hotelach prowincjonalnych na pastwę samotności i nudów.

Gdy powrócił z Meksyku, zasmakował tak gorąco w praktykach „starokawalerskich“, że nawet obok żony nie usiłował o nich zapomnieć.

Tu zaczyna się nieprzejrzane pasmo procesów...

Po pierwszych, długich a gorących zapasach sądowych, księżna odniosła zwycięztwo; jej adwokaci wyprowadzili całe legjony świadków, którzy składali jak najjaskrawsze zeznania o nazbyt nieprawidłowem życiu posuniętego już obecnie na stopień pułkownikowski — księcia.

Amatorowie towarzyskich skandalów mogli przysłuchiwać się tu z rozkoszą ucha opowiadaniom o eleganckich wycieczkach księcia z garnizonowemi „cypryjkami“, które własnemi usty nie wahały się składać zeznań.

Księżna zdobyła nareszcie prawo opuszczenia „domu małżeńskiego“, który w obec włóczęgowskiego trybu życia księcia stał się oddawna mytem — i udała się do zamku Menars do swojej matki.

Tymczasem proces przechodził przez rozliczne instancje i dostarczał najznakomitszym adwokatom pola do grzmiących filipik, wyglaszanych według źródła zapłaty, za albo przeciw księżnej; kilka lat trwały układy — obliczono, iż koszta procesu wynoszą już 700.000 fr.

Wreszcie księżna zwyciężyła na całej linji; wyrzeczono separację „co do stołu i łoża“, a wywód wyroku stawił płochemu księciu przed oczy błyszczące zwierciadło jego występków.

Zdawało się, że z wydaniem tego wyroku rzecz ostatecznie ułatwiona. W tem pewnego pięknego poranku opróżnił się zamek Menars, w którym mieszkała księżna z obu młodemi córkami, objąwszy go po śmierci swej matki w dziedzictwo. W zupełnej tajemnicy wysprzedane zostały powozy i konie; pewien handlarz drzewa wykazał się kontraktem, pozwalającym mu trzebić lasy książęce. Księżna zaś udała się tymczasem do Niemiec i poślubiła w Sachsen-Altenburgu rumuńskiego księcia Bibesco, jednego z tych naddunajskich Paryżan, którzy nigdzie nie czują się tak u siebie, jak nad Sekwanną.

Bibesco — podobnie jak Beauffremont — jest francuskim oficerem, odznaczył się podczas oblężenia, jako adjutant jenerała Trochu, a niedawno jeszcze wymieniano jego nazwisko w rzędzie kandydatów do tronu bulgarskiego.

Małżeństwo to, według praw niemieckich, zupełnie prawowite, nie ma żadnej wartości we Francji i księżna Beauffremont narażiłaby się na proces o bigamję, gdyby powróciła do ojczyzny.

Małżonek starał się zaś o wyrok in contumaciam, ale takowego nie wydano z uwagi na rząd niemiecki, który mógł być niezadowolonym z takiego obrotu sprawy. Natomiast roz-

poczęła się nowa era procesów cywilnych; teraz bowiem odwróciły się role — książę mógł wytrąbiać przed całym światem niemoralność żony, opierając się na nieważności małżeństwa według kodeksu francuskiego. Zażądał powierzenia mu opieki nad obu córkami; sąd przyzwolił...

Księżna Bibesco nie troszczyła się o wszelkie zawezwania sądowe, doręczane jej perjodycznie za pośrednictwem konsulatu.

Tutaj pokazał się książe Beauffremont „człowiekiem interesu". Oddanie sobie córek postawił on na jednej linji z niedopełnieniem kontraktu sąd — według litery prawa, które władzę i rozkosze serca ojcowskiego taksuje na pieniądze — przystał na jego żądanie i skazał księżnę na 1.000 fr. grzywny na każdy dzień, aż do chwili dostawienia księciu córek.

Księżna i teraz jednak została głuchą na wyroki sądów francuskich; to też gdy upłynęło 400 dni, obłożonych karą, polecił książe Beauffremont zlikwidować swoją wierzytelność 400.000 fr. wraz z kosztami i otrzymał w ten sposób prawo zastawu na zamku Menars,

Nie skończyło się, jak mniemano, na pogróżkach; czuły ojciec postanowił istotnie wynagrodzić sobie bolesną stratę córek — w złocie...

I tak, po sekwestrze nastąpiła publiczna sprzedaż!

Do dziś jeszcze w rozległym dziedzińcu zamkowym wywołują ochrypłe gardziele woźnych sądowych cenę przepysznych klejnotów rodzinnych, artystycznych sprzętów, cennych książek i dzieł sztuki.

Oto nowa ilustracja do kwestji, coraz bardziej piekącej, uregulowania w duchu międzynarodowym prawodawstwa o rozwodach.

Piękna historja! Przed pięcioma dniami wydano w Paryżu dwa wyroki śmierci na dwóch przestępców kryminalnych, którzy swą zbrodnią w tak młodym wieku poruszyli cały Paryż.

Na ostateczną rozprawę zgromadziła się publiczność z najdystyngowańszych sfer, mnóstwo artystów, literatów i dziennikarzy. Nawet Paweł Cassagnac porzucił sprawy polityczne i przyszedł zaciekawiony procesem — do sali sądowej.

Podsądni Abadie i Gille oskarżeni zostali o zabójstwo popełnione na wdowie Bassengeaud; obok nich grupuje się wielu innych pomocników i towarzyszy.

Abadie, starszy z obu młodzieniaszków, powziął awanturniczy plan zorganizowania bandy zbójeckiej, którejby mógł zostać kapitanem. Znaleziono u niego formalny projekt statutu, w którym wyliczone były warunki przyjęcia do „stowarzyszenia" i kary za popełniane przewinienia; w tych objawił się krwiożerczy charakter pana kapitana, bo np. między innemi wymagał, aby jego towarzysze wyrzekli się raz na zawsze wszelkich kochanek — pod karą śmierci! — aby schwytani przez policję ani słówkiem się nie zdradzili, pod karą śmierci! — aby brody nie golili, pod karą śmierci! Każdy z członków bandy powinien był być koniecznie genjuszem.

Gdyby nie ciężyła na nich tak straszna zbrodnia, jak morderstwo, możnaby się uśmiać z tych warjackich pomysłów kilku młokosów, którym się w głowie przewróciło po przeczytaniu jakiegoś awanturniczego romansu i zachciało opłakanego bohaterstwa. Wszyscy oni bowiem nie chwycili się tej myśli z nędzy, albo z demoralizacji, — przeciwnie, otrzymali oni lepsze wychowanie i warunki ich materjalne pozwalały im żyć dostatnio. Abadie nawet pochodzi z poważanej rodziny; rodzice jego nie szczędzili ani pieniędzy, ani trudów, aby z niego zrobić uczciwego i porządnego człowieka.

Podobnie i ojciec Gilla, człowiek zamożny — opiekował się jaknajtroskliwiej swoim synem, ale przez niego w ciągu roku niemal na żebraka zeszedł, i dzisiaj toczy wózek z jarzynami po ulicach Paryża, zarabiając na kawałek chleba.

Ci dwaj łotrzykowie dobrali sobie do pomocy kilkunastu wyrostków i rozpoczęli po Paryżu swoje rzemiosło bandyckie, którem z zadziwiającym sprytem i zręcznością kierowała spółka Abadie et Gille.

Wreszcie posunęli się do morderstwa.

Schwytani i uwięzieni bronili się wszyscy, składając całą winę na swoich kapitanów i głównych kusicieli.

Prokurator zażądał kary śmierci, pomimo młodziutkiego wieku przestępców. Nie pomogły odzywania się do łaski obu adwokatów, do miłosierdzia sędziów, nie pomogła niewczesna skrucha i łzy — wyrok zapadł w myśl prokuratora.

Kiedy podsądnych zapytano, czy nie mają czego do nadmienienia, Abadie wstał i głosem łzawym wyjąkał:

— Polecam się litości moich sędziów.

Gille zaś sucho odrzekł: nic!

Po wysłuchaniu wyroku Abadie, starszy od swego towarzysza — zakrył twarz rękoma i wybuchnął płaczem, Gille pozostał obojętnym, usiłując się nawet uśmiechnąć.

I dwóch młodzieńców, prawie dzieci, zginie na szafocie, dla przykładu.

Okropny stan, kiedy sprawiedliwość aż do takich środków uciekać się musi.

Z haremu byłego wicekróla Egiptu, Ibrahima baszy, bawiącego obecnie w Neapolu, usiłowało w zeszłym tygodniu wymknąć się kilka pięknych odalisek, a to podczas kąpieli w morzu. Zdaje się, iż biedne te córki Wschodu dowiedziały się o prawach, przysługujących kobietom i w ogólności „ludziom" we Włoszech, spodziewały się więc, że władze neapolitańskie wezmą je w obronę, na wypadek ścigania przez dozorców haremowych. Tymczasem ci ostatni bez trudu ujęli pięknych dezerterów i odprowadzili napowrót do złotej klatki, a policja neapolitańska ku wielkiemu zgorszeniu dzienników włoskich, nie wystąpiła wcale w obronie ich swobody osobistej.

O zbytku, jaki roztaczają po kąpielach zagranicznych warszawskie panie izraelitki, czytamy w jednem z pism zagranicznych co następuje: Opiszemy tu strój jednej z tych pań, sprzeniewierzającej się stanowczo lnianym tkaninom i prostocie Rebeki lub Racheli. Była to suknia z białego Créps de Chaine, haftowana białem złotem w wieńce z narcyzów, a zapinana na guziki z prawdziwych dużych pereł różowych; wszystko to bramowane brukselską koronką, nie tylko suknia ale i parasolka i wachlarz i kapelusz zdobny w agrafy z pereł i dyamentów, a takież wisiorki u wachlarza i parasolki. Mimo woli podziwiając te bogactwa, osłaniające drobną postać ładnej żydóweczki, budzi się myśl i ciekawość, ile to pan małżonek „zaoszczędzać" musiał aby wystarczyć na podobne wydatki.

Nową ulicą przechodziła wracając z miasta jedna ze skrzętnych naszych młodych gosposi i pomiędzy innemi zrobionemi sprawunkami niosła duże pudełko zapałek.

Naprzeciw biegł nieostrożnie jakiś chłopak i panią ową potrącił... zapałki upadły na ziemię i rozsypały się... Gosposia przysiadłszy zaczęła je zbierać.

Przychodziło jej to z trudnością, jeden więc z przechodniów pospieszył jej z pomocą.

Gdy już prawie wszystko zebrali i pozostało na ziemi tylko ze 30 zapałek, pani ta powstała i z wdzięcznym uśmiechem rzekła do usłużnego pomocnika:

— Dziękuję panu; tę resztę może już pan sobie wziąść za fatygę...

Jest to szczyt szczodrobliwości.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.